

SOS SŁODKO-KWAŚNY
WUJASZKA BENA

1992–1995

To jest właśnie Chochma. Moja rodzinna miejscowość, którą latem ludzie określają mianem raj, zimą natomiast porównują do asteroidy albo góry lodowej. „Jak tu w ogóle można żyć?”, pytali często przyjezdni, a my, miejscowi, odpowiadaliśmy: „Bardzo dobrze, dziękujemy”, bo przecież nie ma nic piękniejszego i bardziej melancholijnego niż stary kurort poza sezonem, gdy stada turystów znikają, jakby wymiotła je jakaś epidemia, a centrum zaczyna przypominać porzucony plan filmowy, z pustymi ulicami i parkami, zatrzaśniętymi okiennicami domków letniskowych i opustoszałą plażą, która z wolna pokrywa się warstwą lodu.

Tą oto ulicą możemy dojść do samego centrum Chochmy, przecinając stary park Festiwalowy, tak zwany Festynek. Ładna trasa. Aleje kasztanowe, kamienne fontanny, wiekowa estrada. Przedwojenni architekci znali się na rzeczy. Teraz Festynek to oaza spokoju, ale gdy byłem dzieckiem, nie puszczali nas tam nawet za dnia. Festynek był najniebezpieczniejszym miejscem w okolicy. W dzikich latach dziewięćdziesiątych stykały się tu strefy wpływów lokalnych grup przestępczych, a tam, przy bramie, w tym ceglanym budynku z czasów sowieckich z zapadającym się dachem, znajdował się niegdyś osławiony klub nocny Aureola. Przed nim, na

parkingu, łysi panowie w sportowych ubraniach mieli zwyczaj załatwiania porachunków, i jakoś nigdy nie dało się raz a dobrze, zgodnie porachować, co kilka nocy koniecznie trzeba było rachować na nowo, a owo rachowanie odbijało się echem o pnie sosen jeszcze dobry kilometr dalej. Nadmorska akustyka jest zresztą pod tym względem bardzo dziwna. W pierwszych latach niepodległości nawet najsłabszy wystrzał z rewolweru sprawiał, że okna okolicznych domów i mieszkań rozświeślały się jedno po drugim niczym lampki choinkowe. Z czasem jednak mieszkańcy Chochmy przywykli do tych odgłosów, znamienych dla odzyskanej wolności, i przestali zwracać na nie uwagę, tylko co odważniejsze miejscowe chłopaki zbierały rano na parkingu Aureoli łuski, które pełniły funkcję szkolnej waluty.

A oto plac Akacjowy. Samo centrum miasteczka. Na lekcjach historii uczyli nas, że w 1778 roku, gdy niczego tu jeszcze nie było, nie licząc lasów i wydm, założyciel Chochmy, baron Teobald von Hertzberg – z pewnością wolnomularz i kabalista – miał wbić w ziemię pal i wydać rozkaz rozplanowania ulic wokół niego, geometrycznie. Przyjęło się uważać, że historyczny pal barona (tak, naprawdę tak go nazywają) cudownym sposobem stał dalej na swoim miejscu jeszcze długo po śmierci Hertzberga, a w pewnym momencie wypuścił nawet pąki i zaczął kwitnąć. Nie sądzę, by to była prawda, chociaż fotografie w archiwum Muzeum Krajoznawczego pokazują, że w latach dwudziestych i trzydziestych, na przekór manii budowania domów letniskowych i zdrojowych, w tym miejscu nie postawiono ani pomnika, ani zegara słonecznego, ani żadnego innego typowego atrybutu centrum miasta, został natomiast okrągły trawnik, otoczony

drobnymi akacjami, z lekka zaniedbany, a na jego środku sterczał drewniany kikut.

W czasach sowieckich akacje wycięto, trawnik zalano asfaltem, a równiutko i idealnie pośrodku ustawiono kamiennego Lenina. Jednak już po niespełna pięćdziesięciu latach na placu Akacjowym zebrało się całe miasto, by popatrzeć, jak uroczyście zwałają go z piedestału. Pamiętam, że był przyjemny, słoneczny dzień, a ja, podobnie jak inne dzieci, miałem zawiązaną pod szyją tradycyjną wzorzystą tasiemkę. Ludzie rozmawiali, śmiali się, otwarcie pili z butelek wino i wódkę. Oczywiście grała muzyka. Wszyscy się cieszyli, i ja też się cieszyłem, bo choć zupełnie nie rozumiałem, czym ten niegrzeczny kamienny pan zasłużył sobie na takie traktowanie, to czułem, że właśnie teraz zaczyna się coś nowego i ważnego, a ja mogłem być tego świadkiem. Mój tata miał przyjaciela z dzieciństwa, nauczyciela historii imieniem Horacy¹, który lubił mawiać, że nowe czasy przynoszą nowe symbole. Byłem więc świadkiem rodzenia się symbolu nowego życia i wolności w pełnej krasie. Przyjechał dźwig i ciężarówka z drewnianą skrzynią. Nie było żadnej mowy pożegnalnej, Leninowi po prostu zarzucono pętlę na szyję i dźwig uniósł go w powietrze. Gdy ogromne kamienne nogi oderwały się od piedestału, rozległy się brawa i wiwaty. Lenin, z ręką uniesioną na wieczne pożegnanie, kołysał się na masywnej linii jakby w wyniku pośmiertnych konwulsji. Silniki ryczały, a plac Akacjowy

¹ A właściwie: Horācijs Pļēščevskis, dysydent starej daty, intelektualista, dżentelmen; dużo czytał, zawsze nosił białe spodnie, palił przez kościany ustnik i miał zwyczaj przecierania palcami szkieł okularów. (Wszystkie przypisy pochodzą od autora.)

bez swojego długoletniego lokatora wydał się nagle огоłocony i pusty. Jednak symbol nowych czasów – współczesny mieszkaniec placu – już czekał za rogiem.

Był siwy, czarnoskóry, elegancko ubrany i niesamowicie wielki – plakat z jego portretem zajął całą ścianę ogniową hotelu Promenada. Jego głowa była co najmniej o połowę większa niż czerep Lenina, którego wstrząsane konwulsjami ciało wisiało teraz przed oczami starca jak robak na wędce. Obok niego, na pomarańczowym tle, widniał niebieski napis „Uncle Ben’s”, a pod spodem mniejszy: „Niezawodny za każdym razem!”. Gdy tak stałem i przyglądałem się twarzy pocziwego Wujaszka Bena, pętla na szyi Lenina zacisnęła się tak mocno, że z imponującym chrzęstem zerwała kamienną głowę z jego ramion. Ta spadła na nogę jakiejś pani i przełamała się na dwie części. Pani zaczęła przeraźliwie krzyczeć: „Ratunku! Złamanie otwarte!”, ludzie rzucili się na pomoc. Tymczasem korpus Lenina uderzył w kabinę ciężarówki, zgniatając ją jak metalową puszkę, a uniesiona w pozdrowieniu ręka odpadła od barku i poszybowała wprost nad nami. Tłum rozbiegł się z krzykiem, mama pociągnęła mnie na bok, wybuchła panika, dookoła sypały się większe i mniejsze kawałki Lenina, a stary Ben w swojej białej koszuli i muszce spoglądał na to wszystko z bezpiecznego dystansu i uśmiechał się tak zadowolony z siebie, że ani ja, ani on sam nie mieliśmy wątpliwości, kto został nowym gospodarzem miasta.

Mówiąc o symbolach nowych czasów, Horacy na pewno miał na myśli sprawy narodowe i ideologiczne – flagi, herby, pieśni i hymny, a także te pełne natchnienia chwile, gdy społeczeństwo w imię wyższych celów dosłownie i w przenośni wznosi ręce w górę, gotowe w każdej

chwili paść na ziemię i wylewać krew za wspólną sprawę. Najwrażliwsi idealiści i najzagorzalsi dysydenci pokolenia Horacego doświadczyli oddziaływania tych symboli w całej pełni. Ale z naszego dziecięcego, przyziemnego punktu widzenia nowa rzeczywistość była ubrana w zupełnie inne dekoracje. Rytm dnia wyznaczały nam porachunki w Festynku przed klubem Aureola, głośne strzelaniny w środku nocy, pewni siebie młodzi ludzie w beemwicach i mercach, podręczniki szkolne z kolorowymi obrazkami, Steve Tyler, który „nie szedł spać, po to, by słyszeć twój oddech”, serial „Byle do dzwonka”, oraz – ma się rozumieć – niepowstrzymany potok reklam w telewizji, gazetach, magazynach, na ulicach, w sklepach i kioskach:

Enjoy Coca Cola!

Snickers. Głodny? Na co czekasz?!

Wagon wheels – jesteś zwycięzcą²

A jednak wszystkie te ikony komercji bladyły przed potężnym obliczem Wujaszka Bena i jego sosem słodko-kwaśnym, ponieważ prawdę mówiąc, w naszym załkątku świata sos słodko-kwaśny Wujaszka Bena był istotnie szalenie popularny, ale jednocześnie obłędnie

² Obok nas mieszkał taki chłopak, Māris. Kupił raz batonik Milky Way, po kryjomu zabrał tacie kamerę vhs i namówił mnie, żebym go nagrał, jak w samych slipkach, po kolana w morzu, z czekoladowym batonikiem w buzi tańczy w promieniach zachodzącego słońca. Kiedy ostrożnie zapytałem po co, odparł: „Bo to jest właśnie prawdziwe życie!”. Wtedy wydało mi się to dziwaczne i nieco podejrzanе, ale teraz rozumiem, że w pewnym sensie Māris najpełniej uchwycił sens naszych czasów.

drogi. Każdy, kto mógł sobie pozwolić na podanie go gościom, automatycznie stawał się królem bądź królową miasteczka. Butelka coli w tym nowym świecie nie była już niczym szczególnym, to mógł kupić prawie każdy. Jednak o wydawaniu ciężko zarobionych pieniędzy na produkty marki Uncle Ben's mieszkańcy Chochmy nawet nie śmieli marzyć. Dziwna rzecz. Niby w postsowieckiej rzeczywistości nie brakowało już dóbr materialnych, które świadczyłyby o wysokim statusie społecznym, jak domy, samochody, ubrania. Ale nie, to było zbyt banalne. Szybkie samochody, luksusowe domy i markowe ciuchy w latach dziewięćdziesiątych mogli mieć nawet podrzędni gangsterzy – pionki w przestępczej grze, które często kończyły życie z roztrzaskanymi czaszkami na parkingu przed Aureolą, a ich złote pierścienie i roleksy były przechwytywane z ich zimnych dłoni. Nie. Hierarchia władzy w Chochmie wymagała wyjątkowego symbolu, który świadczyłyby o przynależności do nadludzkiej kasty. I właśnie do takiego symbolu urósł sos słodko-kwaśny Wujaszka Bena.

W sklepie wielobranżowym przy Promenadzie, tu nieopodal, w jednym z najładniejszych budynków z epoki Hertzberga, pomarańczowe słoiki i pudełka ryżu wypełniały całą wystawę. Nigdy nie zapomnę, jak raz przy wejściu do marketu zatrzymała się długa, srebrna limuzyna, wysiadł z niej potężny kark w skórzanej kurtce i otworzył tylne drzwi, którymi wyszło dwóch potężniejszych osiłków oraz leciwy jegomość w nienagannie skrojonym dwurzędowym garniturze w drobne prążki, z błyszczącymi guzikami. Jeden z osiłków został na straży przy wejściu, pozostali weszli do środka, a gdy szef wrócił z naręczem słoików Uncle Ben's, złote zęby w jego sze-

rokiem uśmiechu rzucały zajączki słońca prosto w oczy przechodniów. Oto, jacy ludzie jadają sosy Uncle Ben's. Sosami Uncle Ben's delectują się równi goście, politycy, sędziowie, gwiazdy pop. Jak mawiała moja babcia: „Tym to się powodzi, u tych jest Ben na stole”. Nie muszę chyba dodawać, że u nas na stole Bena nigdy nie było.

Widywaliśmy go jednak nieustannie wszędzie wokół. Jak wtedy, w czwartej czy piątej klasie, gdy z przyjacielem Paulsem szwendaliśmy się po starych podwórkach przy Promenadzie. Dzień wolny, zmierzch, ładna pogoda. Włoczmy się i robimy świece dymne z grzebieni i folii³. Ściślej rzecz ujmując, Pauls robi, a ja tylko przeszkadzam. Nagle w jedną drewnianą bramę, zwieńczoną łukiem i zwykle zamkniętą, wjeżdża furgonetka volkswagena. Jaskrawopomarańczowa, z przyciemnianymi szybami. Wjeżdża na środek podwórza, gasi silnik i stoi. Przekradamy się z Paulsem na klatkę schodową, wchodzimy kilka pięter wyżej i obserwujemy wszystko przez okno. Siedzimy, patrzymy, a samochód stoi jak stał, nikt nie wysiada. „Słuchaj”, mówię, „może lepiej stąd zwiewajmy? To jakieś podejrzane”. Ale Pauls nie chce wiać. Pauls jest odważny i żądny przygód. Minęła chyba cała wieczność, aż w końcu z restauracji Wiśniowy Sad wyszła pokaźna babka w fartuchu. I wtedy z furgonetki wyskoczyły dwie osoby: jeden facet słusznej postury i drugi drobniejszy, za to ze spluwą w dłoni. Gadali z babką z restauracji, a ten drobniejszy wymachiwał pistoletem w powietrzu jak dyrygent batutą. Widać było, że się kłóć, momentami

³ Typowe zabawy z tamtych lat – najtańsza pirotechnika albo ta własnej roboty, strzelanie główkami od zapalek i spinaczami, gra w noża. Cud, że nikt nie skończył bez palca albo oka.

słyszeliśmy podniesione głosy. Pauls się wierci, nie może usiedzieć w miejscu, chce być w centrum wydarzeń. Ja natomiast, jako chłopiec z natury ostrożny, staram się go uspokoić. Kiedy pertraktacje dobiegają końca, babka wyciąga z kieszeni fartucha zwitek banknotów, owinięty stroną z „Kuriera Chochmy”. Drobny facet przelicza pieniądze, nie wypuszczając spluwy z dłoni, a ten rośły wyciąga z furgonetki karton pełen pomarańczowych, markowych słoików. Babka odkręca jeden z nich, wacha, po czym palcami wyjmuję z sosu dużą torebkę z białym proszkiem. Wszystko jasne, myślę, raczej nie ma się czego bać. Ale wiem też, że od takich sytuacji lepiej trzymać się z dala. Jak wspominałem, byłem ostrożnym chłopcem. Odwracam się, by szepnąć coś Paulsowi, gdy ten, skubany, łamie zapalną, podpala owinięty folią plastikowy grzebień, z hałasem otwiera okno i wyrzuca własnoręcznie zrobiony pocisk na podwórze. „Co robisz, idioto?!” krzyczę, a Pauls, który naoglądał się filmów, ogłasza z dumą: „Walczę z przestępczością zorganizowaną!”.

Płonący grzebień owinięty folią wznieca kłęby czarnego dymu. Facet ze spluwą drze się: „Złapię was i pozarzynam, mali kretyni!”, ale nie jest w stanie nas dostrzec. Pauls chichocze, a ja wiem, że ma w kieszeni petardy. Powinienem złapać go za rękę i odciągnąć, poszukać kryjówki gdzieś w tych sprytnie skonstruowanych klatkach schodowych i podwórzach. Ale ten już wyciągnął petardy i właśnie ciska nimi przez okno, jedna po drugiej. Biorę się w garść i siłą zaciągam Paulsa w głąb starych korytarzy. W oddali słychać różne dźwięki, z hukami na pierwszym planie, i to nie tymi wydawanymi przez wyroby pirotechniczne kupione na bazarze po sześć santimów za sztukę. Wdrapujemy się na strych, stamtąd przecho-

dzimy do sąsiedniej klatki i zbiegamy po schodach prosto na prospekt Visby. Wiem, że nas widzieli, że ci faceci z furgonetki Wuja Bena na pewno nas zauważyli, a nawet jeśli nie, to i tak się dowiedzą, kim jesteśmy, bo to Ważne Osoby, a Ważne Osoby mogą dowiedzieć się wszystkiego, zwłaszcza gdy ich zwierzchnikiem jest potężny Wuj Ben. Wuj Ben widzi wszystko i wszystko wie.

Chociaż kocham swoje rodzinne miasteczko, powroty do niego napawają mnie smutkiem. Staram się wracać tu jak najrzadziej i tylko z ważnych powodów. Śluby przyjaciół, pogrzeby znajomych, święta czy, jak teraz, sprawy osobiste. Nawet żonę, Ivonnę, w czasie naszego krótkiego, nieudanego eksperymentu zwanego małżeństwem przywiozłem tutaj jeden jedyny raz i nie pamiętam, z jakiej okazji. Pamiętam tylko, że było to już ze dwadzieścia lat od zburzenia pomnika Lenina i pojawienia się Wujaszka Bena, a my udaliśmy się do starego sklepu wielobranżowego po alkohol. I co też napotkały nasze oczy na opustoszałych półkach? Sos Uncle Ben's we własnej osobie! Euro dwadzieścia pięć za opakowanie! Pomyśleć tylko, że przez te wszystkie lata poza Chochmą nawet nie zastanawiałem się, czy ten produkt jeszcze istnieje. Oczywiście od razu sięgnąłem po słoiki, chwyciłem po jednym w każdą dłoń, i przez resztę wieczoru nie byłem w stanie myśleć i mówić o niczym innym, ponieważ pragnąłem, by również Ivonna zasmakowała tego cudownego i strasznego specyfiku, zapoznawszy się uprzednio z całym tłem historycznym.

Po incydencie ze świecami dymnymi popadłem w niesłychaną paranoję, przeplataną ogromną ciekawością. Było jasne, że Pauls swoją lekkomyślnością rozwścieczył niewłaściwych ludzi. Na widok furgonetek volkswagena,

nie tylko pomarańczowych, ale i każdym innym kolorze, od razu zawracałem albo chowałem się. Gdy z naprzeciwka szło dwóch lub więcej facetów, przechodziłem na drugą stronę ulicy. W wyobraźni widziałem, jak Ważne Osoby rozprawiają się z nami w ulicznym stylu na tysiąc i jeden sposobów. Nie tylko Pauls oglądał filmy video, ja również, i nie miałem wątpliwości, że nasza śmierć z ich rąk będzie powolna i bolesna. A jednocześnie cała ta sytuacja tylko podsyciła moją ciekawość: jaki jest tak naprawdę ten cały sos słodko-kwaśny Wujaszka Bena? W moich złotych myślach przy pytaniu „Jakie jest twoje ulubione danie?” niektórzy koledzy z klasy wpisywali „Sos Uncle Ben’s z ryżem”, jednak zapytani wprost o to, jak smakuje, nie potrafili skłecić sensownej odpowiedzi. Najdziwniejsze było to, że strach zgodnie koegzystował w mojej głowie z ciekawością. Chociaż nie, wcale nie „zgodnie”. Ja się niemal rozdziwiłem, stałem się dwoma różnymi osobami – małym Marksem Formansem, który boi się wejść do Festynka i przejść Promenadą, oraz tym drugim, obcym dla mnie samego, gotowym zaryzykować wszystko, by tylko dowiedzieć się, jak smakuje ta legendarna pomarańczowa papka.

Ivonna śmiała się ze mnie⁴, chociaż mówiłem śmiertelnie poważnie. Opowiedziałem jej historię o tym, jak Wujaszek Ben obudził we mnie nie tylko wielki, nieznany dotąd lęk, lecz także zdolność do autorefleksji i poczucie wyobcowania. Było to latem, a jak wiadomo, latem w latach dziewięćdziesiątych odbywał się w Chochmie plażowy festiwal o genialnej nazwie Summer Dance Par-

⁴ „Twoje życie to jedna wielka anegdota. Ha, ha – Choch-ma!”, mawiała.

ty. Wielkie wydarzenie na skalę lokalną. Zjeżdżały się wszystkie „słynne na cały świat” gwiazdy estrady z Rosji, mobilizowali się miejscowi didżeje, na plaży przez dwie noce z rzędu dudnił bas i strzelały reflektory, a po odświeżeniu oświetlonej Promenadzie przechadzali się ludzie w strojach kąpielowych i ubraniach we wszelkich możliwych tonach jaskrawości. Taka miniatura Nowej Fali – raz przyjechali nawet Filipp i Ałła, jeśli się nie mylę. Nie mieliśmy z rodziną zwyczaju brać udziału w tej imprezie, jednak wtedy, w tamtym roku, w nocy z soboty na niedzielę zapowiedziano pokaz sztucznych ogni i moja siostra Betānija bardzo chciała go zobaczyć. Wybraliśmy się zatem we czwórkę – mama, tata, Beta i ja.

Na plaży zgromadziło się prawie całe miasteczko, o przyjezdnych i letnikach nie wspominając. Do pokazu fajerwerków zostało jeszcze sporo czasu, a niedaleko dużej sceny spotkaliśmy Paulsa. Zapytałem, czy mogę z nim połączyć po plaży, obiecując jak zawsze, że nie oddalimy się zbyt daleko i nie będziemy robić głupot, i że stawimy się w umówionym miejscu o umówionej porze. Zazwyczaj sumiennie stosowałem się do tych reguł. Ale tym razem coś poszło nie tak. Pamiętam, że Pauls miał ze sobą fajną rakietę, Big Tiger czy coś podobnego, i namówił mnie, wbrew uzgodnionym zasadom, żebyśmy na chwilę polecieeli do sklepu po zapalki. Dla nas takie wycieczki nie były niczym niezwykłym, plażę i lasy Chochmy znaliśmy na tyle dobrze, by bez robienia hałasu i zwracania na siebie uwagi pobiec na Promenadę, która tamtej nocy przypominała mały Broadway, a potem niezauważalnie powrócić.

Kasjerka nie chciała sprzedać Paulsowi zapalek, uciekliśmy się więc do innej wypróbowanej metody:

stanęliśmy na zewnątrz przy wejściu i prosiliśmy o pomoc przypadkowych przechodniów. A przynajmniej taki był plan. Starszych osób nie było sensu zaczepiać, o ile chcieliśmy uniknąć odpowiadania na pytania w stylu: „Co tu robicie bez opieki?” albo „Gdzie wasi rodzice?”. Młodzi dorośli byli bardziej uczynni, ale jak na złość akurat wtedy gdzieś ich wymiotło – zapewne na plażową imprezę, której rytmy dochodziły od strony lasu.

Gdy Pauls zaczął się denerwować, że nie zdąży na pokaz fajerwerków, a ja, że oberwie mi się od mamy, przed sklepem stanęła osobliwa para. To musieli być przyjezdni, zbyt elegancko i zbyt ekscentrycznie wyglądali jak na małomiasteczkowe standardy. Muskularna – rzecz by nawet można: bardzo męska – dama z rudym kokiem na czubku głowy, w krótkiej sukience w lamparcie cętki i lakierowanych butach na koturnie, dzięki którym liczyła sobie ze dwa metry wzrostu. Obok niej drobny facecik, mniejszy chyba niż Pauls czy ja. W pierwszej chwili myśleliśmy, że to jej syn, ale w świetle wystawy zobaczyliśmy, że jego nieproporcjonalnie dużą głowę zdobią wąsy i broda.

– Izwienitje – zagadnął Pauls łamanym rosyjskim – wy nie kupi nam kastoczku spiczki?

– Конечно – powiedział karzeł i nadął się z szyderczym uśmiechem – а сигареты, что, уже есть?

Kobieta zarżała niskim śmiechem. Pauls podał karłowi dwa santimy i nonszalanckim gestem pokazał, że nie ma co być drobiazgowym.

Para weszła do sklepu. Długo robili zakupy, wkładając wszystko po kolei do metalowych koszyków. Pauls zaczął się niecierpliwić.

– Spóźnimy się – powtarzał. – Przez te małpy z cyrku nie zdążymy.